*Barbara Kosmowska, Panna Foch plus minus 16 (3)*

Pryszczaty majstrował przy nowej bramce do ogrodu.

– Cześć – powiedział, gdy go mijałam, idąc do sklepu. Ale tak cicho, że równie dobrze mogłam tego powitania nie usłyszeć.

Zamiast mu odpowiedzieć, zapytałam ze złością, czy musi tak głośno walić młotkiem od samego rana.

– Niektórzy jeszcze chcą spać – dodałam z naganą.

– Wobec tego przepraszam niektórych – odparł już głośniej. I z całych sił zaczął wbijać kolejny gwóźdź.

Nigdy nie spotkałam bardziej irytującego chłopaka. Straszny z niego mruk. Jakby nikt go nie nauczył grzecznie rozmawiać z dziewczynami.

W sklepie trafiłam na Anię, którą przesłaniała torba pełna zakupów.

– O rany! To chyba zapasy na zimę! – przestraszyłam się.

– Wcale nie! – Anka zmarszczyła śmiesznie nos. – Jutro znowu tyle kupię! Jak są prace w polu, trzeba bez przerwy produkować kanapki!

– Nie mów, że codziennie robisz stosy kanapek… – zamarłam z wrażenia. – Przy mnie nawet bliźniakom grozi śmierć głodowa!

– Nasza Ania to jak dorosła gospodyni! – Pani Julianka aż wychyliła się zza lady, żeby objąć Ankę miłosnym spojrzeniem. – Jak potrzeba, sama ugotuje, wieś całą nakarmi i porządek w statkach zrobi!

– W statkach? – zdumiałam się.

– W garnkach znaczy… – Sprzedawczyni spojrzała na mnie z lekkim politowaniem.

– Eee, tu każdy tak… Zawsze jest praca. – Ania zwiesiła ramiona. Pewnie trudno jej było udźwignąć te pękate siaty i miłość pani Julianki.

– Poczekaj na mnie – poprosiłam ją. – Do krzyża poniesiemy te twoje chleby razem.

Gdy wychodziłyśmy, sklepowa zafalowała wielkim biustem.

– Widzi babcia Gizłowa? – odezwała się do małej staruszki kupującej mleko. – Myślałam, że z miasta jakaś chmura gradowa tu do nas ściągnęła… A ta doktorowa córka całkiem do rzeczy dziewucha! Chude to, zmarniałe, ale pomóc chce! Jeszcze z niej będzie pociecha, mówię to babci!

Dlaczego zamiast się oburzyć, nagle poczułam ciepło w całym ciele? Taką miłą błogość? Nawet wielka torba Anki zrobiła się lżejsza.

– Chmura gradowa? O co jej chodzi? – zapytałam, gdy już mijałyśmy ostatnie zabudowania. – Że niby jestem jakaś ponura?

– Nie przejmuj się. – Ania machnęła wolną ręką. – Jak przyjeżdżają nowi, to zawsze trzeba coś o nich powiedzieć. Ale Julianka muchy nie skrzywdzi. Pewnie nie wie, że lubisz się śmiać.

Jak może tego nie wiedzieć? – zastanawiałam się, gdy Ania ruszyła do swojego domu, a ja wybrałam piaszczystą dróżkę prowadzącą na nasze podwórze. – Przecież w dawnej klasie ciągle się śmiałam, a rodzice mówią, że w przedszkolu panie nazywały mnie Śmieszką-pocieszką! Tyle że to było dawno temu i w innym życiu – westchnęłam do swoich myśli. – Nic dziwnego, że posmutniałam, gdy mnie okradziono z całego dzieciństwa!

Próbowałam użalać się nad sobą, ale to nie było możliwe. Słońce właśnie zatrzymało się nad naszym domem, a z pobliskich drzew dobiegał taki ptasi koncert, że nawet mój ukochany Jason nie przekrzyczałby tej orkiestry.

Postanowiłam uśmiechać się cały dzień. Aż do bólu szczęki.

Zaczęłam od Pryszczatego.

– Cześć – odezwałam się z dużym opóźnieniem. I wyszczerzyłam się od ucha do ucha.

Spojrzał na mnie z przestrachem.

– Cześć – przywitałam mamę i bliźniaki, stawiając zakupy na stole. Uśmiech nadal nie schodził mi z twarzy.

– Coś się Bobu stało! – przeraził się Groszek.

– Mamo, Bobik zdziwniał! – zakwiliła Fasolka.

– Kochanie, wszystko w porządku? – Mama przyglądała mi się z lekarską dociekliwością. – Pytam, bo dawno tak się nie uśmiechałaś…

– Rany, dajcie człowiekowi żyć! – warknęłam wściekła. I nagle cała rodzina odetchnęła z ulgą.

Tego dnia zapisałam w dzienniku, że Pryszczaty oraz najbliższe mi osoby najwyraźniej oczekują ode mnie wiecznego ponuractwa.

A potem patrzyłam na zalane słońcem pola, myśląc o tym, jak gdzieś w drodze z Warszawy do Wiśniowej Góry zgubiłam swój uśmiech. I że jest mi z tym źle. Wyobraziłam sobie, że mój uśmiech błąka się teraz niczym babie lato po łąkach, nieszczęśliwy i samotny.

Odnajdę go – obiecałam sobie zawzięcie.

Trudno w to uwierzyć, ale jeszcze tego samego dnia uśmiech powrócił na swoje miejsce. Przynajmniej na jakiś czas. Pomogli w tym rodzice, a właściwie prezent, jaki od nich dostałam. Po południu tata zawiózł mnie do stadniny położonej pod lasem, na tyłach białego domu, w którym mieszka Ama ze swoim tatą. Okazało się, że stadnina jest pod opieką pana Tomasza, który uczy też jazdy konnej. Dopełniliśmy wszelkich formalności i zostałam oficjalnie przedstawiona Rozalii.

– Polu, pozwól – zaczął pan Tomasz – to twoja nowa towarzyszka, Rozalia, czasem pieszczotliwie zwana Zawalidrogą. A to, moja Rozalio, Pola…

– Czasem pieszczotliwie zwana Bobikiem – dorzucił mój tata, ale nie miałam mu tego za złe. Przy tej spokojnej i mądrej klaczy trudno było się złościć.

Zadrżałam z przejęcia, gdy okazało się, że już dziś będę mogła dosiąść konia. Przedtem jednak należało go wyczyścić i osiodłać.

Wracałam do domu radosna, choć pierwsza lekcja nie ujawniła moich ukrytych zdolności jeździeckich. Na szczęście pan Tomasz i tata byli przekonani, że wkrótce pogalopuję bez niczyjej pomocy w siną dal.

Mama też nie miała żadnych wątpliwości.

– Tak się cieszę, że znalazłaś nową pasję. – Przytuliła mnie mocno.

Chciałam o wszystkim jak najszybciej napisać w mailu Kindze, ale zmieniłam zdanie.

Jeszcze za mało potrafię, żeby się chwalić – powiedziałam sobie w duchu, siadając do komputera.

W kilku słowach wspomniałam za to przyjaciółce o wczorajszej przygodzie bliźniąt, które wlazły do budy psa sąsiadów. Niby nic takiego, ale mieszkaniec budy, Dżek, uchodzi za dość nerwowego brytana. Całą wsią wstrząsnęła wiadomość, że dzieci doktorów są w niebezpieczeństwie. A potem się okazało, że w niebezpieczeństwie był Dżek, przekarmiony parówkami.

Po raz pierwszy od dawna poczułam, że kocham te potwory – szczerze pisałam Kindze. – Bałam się pomyśleć, co może je spotkać. My szaleliśmy z rozpaczy, a w psiej budzie odbywało się wielkie żarcie! Musisz tu przyjechać! – stukałam w klawisze. – Zobaczyć słońce, które codziennie tapla się w jeziorku. Obejrzeć gabinet mamy z niegustownymi ścianami w grochy (bo jak nie fasole, to grochy!). I szklarnię, w której będą kwitły wyłącznie kwiaty, gdyż jest zakaz sadzenia w niej fasoli. Mam już plany na nasz weekend. Będziemy chodziły na długie spacery, biegały po wzgórzach i słuchały Jasona. A wieczorem rozpalimy ognisko…

Co ja wypisuję! – zreflektowałam się w końcu. – Przecież Kinga za nic nie pobiegnie przez wzgórze na bosaka! Nie wytrzyma bez swojej komórki i tabletu pięciu minut! I nie opuści pokoju bez lekkiego makijażu. A jak go zrobi, to dla kogo? Skąd jej tu wezmę fajne sklepy albo ciekawych chłopaków?

Jason właśnie kończył piosenkę o przyjaźni:

*Tęsknię za tobą, uuu, i czekam,*

*bez ciebie czasem, uuu, wymiękam.*

*Choć tyle gwiazd jest, uuu, na niebie,*

*przyjaźń łączy mnie i ciebie…*

Czy to rzeczywiście o Kindze i o mnie? – zaczęłam zastanawiać się nad tekstem, który jeszcze tak niedawno wzruszał nas obie i pomagał zakończyć każdą kłótnię. Od czasu, gdy zamieszkałam w Wiśniowej Górze, wprawdzie się nie kłócimy, ale nasze maile i rozmowy przez telefon są jakby… o niczym. A przecież nie można kłócić się o nic! Trudno też się niczym cieszyć albo wzruszać. I jeszcze to, że Kinga zawsze chce mówić tylko o Warszawie… O naszych dzielnicach, naszych ulicach i naszej klasie. Po co tak podkreślać, że mnie tam nie ma? Wiem, że mnie nie ma! Sama się tym dręczę! Żeby chociaż była ciekawa, co u mnie słychać. Nie jest, bo przerywa mi w pół zdania i rzuca do słuchawki: „Eeee! To jeszcze nic! U nas, moja kochana…”. I znowu ląduję poza Warszawą i poza Wiśniową Górą. Czyli właściwie… nigdzie.

Gdy teraz o tym myślę, jest mi przykro. Taka Ania potrafi słuchać, kiedy mówię o Kindze. A Kinga w ogóle nie zna Ani, bo zaraz jest to jej pogardliwe: „Eeee…!”.

Mimo smętków w sercu i wątpliwości w głowie wysłałam list. Tym razem Kinga przynajmniej mi nie przerwie, żeby zdać relację ze spaceru z pięknym Julkiem. Tak, tak! Od tygodnia przyjaźnią się jeszcze bardziej! Wiem już wszystko o odlotowej kurtce Julka. I o jego tacie, który pracuje w telewizji, dzięki czemu Kinga dostanie wejściówkę na widownię Tańca z Gwiazdami. Już sobie kupiła nowe bolerko i specjalny zeszyt na autografy. A co najgorsze, powiedziała, że wtedy, pod blokiem, to Julek się śmiał ani do mnie, ani ze mnie. Nie mógł tego zrobić, ponieważ wcale mnie nie zauważył. Kinga twierdzi, że dobrze się stało, gdyż najgorzej jest, jak ktoś taki jak Julek śmieje się z dziewczyny. Po takiej aferze nic, tylko się zapaść pod ziemię! „Sama więc widzisz – napisała – ile miałaś szczęścia”.

Gdy to wszystko sobie przypomniałam, a zwłaszcza że mam „szczęście”, poszłam spać. „Szczęśliwa”. I dlatego wiem, że szczęśliwi ludzie wcale nie zasypiają szybko. Kręcą się, przewracają z boku na bok, są przygnębieni i czekają na sen jak na zbawienie.

Bliźniaki nareszcie ukarane!

Tata wezwał je do swojego gabinetu po tym, jak ruszyły nad ranem, uzbrojone w latarkę i talerze, do cielaków pani Broni. Zaniosły im wczesne śniadanie: mrożony szpinak, pastę łososiową i potrawkę z indyka. Na szczęście panią Bronię obudziły hałasy w oborze. Przyłapała nocne włóczęgi na próbie przekonywania cieląt, że uwielbiają łososia.

Z satysfakcją przyglądałam się dzisiejszej egzekucji.

Tata wynalazł okropnie srogą i nieprzyjazną minę. Pewnie ją ćwiczył, gdy egzaminował studentów.

– Tatuś się przebrał za… ufoluda! – krzyknął Groszek, sądząc, że testujemy na nich nową zabawę.

– A Bobik za… – Fasolka spojrzała na mnie wnikliwie. – Za Bobika! – uznała z niezachwianą pewnością siebie.

Czyżbym zawsze wyglądała jak oprawca małych dzieci?

– Dlaczego to zrobiliście? – zapytał głośno tata, nieczuły na zaproszenie do zabawy w kosmitów. – Co was poniosło do tej obory?

– Nóżki! – Fasolka była szczęśliwa, że uprzedziła brata.

– Tata was pyta – pospieszyłam ojcu z pomocą – jakim prawem łazicie nocą po cudzych podwórkach.

– Aaa! – odetchnął Groszek z ulgą. – To nie jest cudze podwórko, tylko babci Broni!

Szelmowski uśmieszek tego dzieciaka kiedyś go zgubi – pomyślałam.

– Bo my chcemy być lornikami – wyjaśniła obrażonym tonem Fasolka.

– A cielaczki dostają tylko mleko! Jak można ciągle pić mleko…? – zaczął Groszek.

– Nikt nie lubi tylko mleka! – dokończyła płaczliwie Fasolka.

– Przecież szpinaku nie znosicie! – przypomniałam im mściwie.

– No właśnie! – zakrzyknęły razem.

– …a cielaczki znoszą! – zatriumfowała Fasolka.

– Nie. – Groszek potarł czoło. – To kury znoszą!

– Ale cielaczki też! – Fasolka się zaperzyła. – Cielaczki też znoszą, bo sama widziałam!

I już było wiadomo, że to koniec planowanej akcji karcenia.

Obrażone i skłócone bliźnięta przyjęły do wiadomości zakaz znikania z naszego terytorium przez najbliższe dni, a zwłaszcza noce. Opuszczały pokój taty mocno niepocieszone. Nic dziwnego. Uważają, że każdy ich pomysł zasługuje na podziw.

– No i widzisz? – dokuczyłam tacie. – Chciałeś stworzyć skromną fasolę, a urosły ci dwa narcyzy!

– Za to jakie dorodne! – Tata uśmiechnął się do mnie porozumiewawczo.

Lubię te chwile, gdy ja i on rozumiemy się bez słów. Mama rzadko bierze udział w egzekucjach. Twierdzi, że jest zbyt delikatna i na sto jednostek wrażliwości ma dokładnie sto.

To prawda, ale kto mi wyjaśni, jak taka wrażliwa osoba może poświęcić swoje życie na wyrywanie ludziom zębów okropnymi cęgami?!

Po południu wpadła do nas świeżo upieczona babcia, pani Bronia, aby błagać o darowanie życia bliźniętom. Zapewniała, że cielaki uwielbiają „doktorową parkę”, więc zaproponowałam, aby parka zamieszkała z cielętami, a pani Bronia u nas. Wiedziałam, o co walczę. Racuchy z jabłkami, które zjawiły się razem z naszą sąsiadką, dają jej prawo dożywotniego pobytu w pokoju gościnnym.

To byłoby cudowne niedzielne popołudnie, gdyby nie list od Kingi.

Oczywiście nie przyjedzie! Nie teraz, bo właśnie rozpoczyna się jej kariera medialna! Ponoć ojciec Julka jest nią oczarowany i wróży Kindze miejsce na parkiecie: „Powdział że mam na pewno talent, to się jusz zapisłam na kurs tańca. I na warszty make up”.

No a poza tym zostanie szafiarką.

„Wogle to ja Bobiku kocham stylzacje, co już ci mówłam poprzednio tylko mi brakowało fachowca. Niemożliwy jest teraz mój wyjazd bo obiecałam Marzenie tej co miała pierwsza kurtkę od Abercrombie ze my razem załozymy błoga” – zasepleniła na końcu listu.

I dopisała PS:

„Ale jak już przyjadę to ty sobie kup zeszyt na autografy. Na pewno ci się wpisze. Hi hi, twoja Kiniusia”.

– Szkoda – szepnęłam zawiedziona i spojrzałam z odrazą na swoje poobijane nogi. Na pokaleczone rżyskiem stopy. Wreszcie na rozdrapane ramiona, na które pikowały wszystkie komary świata. – Mnie by teraz nawet do baru mlecznego nie wpuścili – westchnęłam, bliska łez – a co dopiero do telewizji!

Nagle zapomniałam o stadninie i pięknym popołudniu. Powrócił żal do rodziców. Jak mogli dla swoich egoistycznych celów odebrać mi dawny świat?! Ten, w którym ja też mogłam tańczyć, piszczeć przy scenie z szalejącym Jasonem i wierzyć, że któregoś dnia rzuci mi od niechcenia swój kapelusz, jak to robił na koncertach. Znam historie trzech dziewczyn, które go złapały. Wszystkie zapewniały w wywiadach, że ten kapelusz całkiem odmienił ich życie.

Mama porządkowała swój nowy gabinet. Postanowiłam jej zaufać i jak kobieta kobiecie wyjawić bolesne udręki.

– Że co? – zdziwiła się. – Że jakiś kapelusz zmienia nasze życie?

Tylko tyle dotarło do mamy. Chyba wbiłam ją swoim wyznaniem w fotel dentystyczny. Na szczęście natychmiast się zerwała i przytuliła mnie mocno. Wiedziała, że nie oczekuję żadnych zdziwień, tylko zrozumienia.

– Polu – powiedziała poważnie. – Masz prawo myśleć, że wszystko jest na przekór tobie. Ale jeśli będziesz chciała tańczyć i jeździć do Warszawy, to z Wiśniowej Góry też tam trafisz…

Łatwo jej mówić! – pomyślałam urażona. – Po co mnie przesadzali do swojego wiejskiego ogródka, skoro w Warszawie kwitłam i miałam przyjaciółkę?! Ale głośno powiedziałam zupełnie co innego:

– Wcale nie tęsknię za naszym starym mieszkaniem… Ale zazdroszczę Kindze! Zwyczajnie! Wiem, że to okropne! Bo ten Julek… to ja myślałam, że może się zaprzyjaźnimy… Chociaż tyle! A teraz chodzi z nim moja najlepsza przyjaciółka…

– Przyjaciółka nie może być najlepsza – zaprotestowała mama. – To taka koleżanka, że lepszej już nie ma. A skoro Kinga swoje marzenia przedłożyła nad twoje, to niekoniecznie jest tą najważniejszą koleżanką.

Chciałam przyznać jej rację, jednak myśl, że zostanę bez przyjaciółki, była nie do zniesienia.

– No nie – sprzeciwiłam się. – Kingi nie dam sobie odebrać! Może po wakacjach zerwie z tym całym Julkiem…

Powoli zbierał się we mnie płacz. Tylko nie wiedziałam, czy z powodu Kingi, czy Julka. Przecież jeszcze niedawno chciałam przyjaźnić się z każdym z nich.

– Ja nikogo ci nie zabieram, kochanie – powiedziała mama ciepło. – Chcę, aby przyjeżdżał tu każdy, kogo zapragniesz zaprosić. Może między tobą a Kingą jeszcze się ułoży.

– Mhm – mruknęłam, ocierając niechciane łzy. Tak się pewnie stanie. W końcu niedawno, gdy słuchałyśmy piosenki o naszej przyjaźni, zapisałyśmy w swoich dziennikach: „Na zawsze razem” i „Gdzie ty, tam ja”. Po czymś takim jest się już jak po ślubie. Tylko w świecie bliźniąt można na coś przysięgać i od razu odsięgać!

Późnym wieczorem zebrałam się na odwagę i skrobnęłam list do Kingi:

„Cieszę się, że masz superwakacje. Naprawdę! Ale jak znudzą ci się tańce czy szopingi, pamiętaj, że czekam z najlepszymi racuchami świata”.

Po chwili przyszła odpowiedź:

„Racuchy? Bleee!!! Nie objadaj sie bo przytyjesz! Ja od wczraj jem tylko fit! To buz buź bo przyszli do mnie Klara i Julk”.

Pryszczaty dziś mi się ukłonił. Ale wcale nie tak jak chłopaki z mojej dawnej klasy, na luzaku. Raczej tak jakby połknął przed chwilą tę sztachetę, którą razem z panem Ptasikiem przybija do płotu.

Skinęłam mu łaskawie głową. Niczym królowa. Mama twierdzi, że w każdej trudnej sytuacji należy być jak księżna, no to akurat nadarzyła się okazja. Ale gdy wykonywałam ten pełen godności gest, jak na złość przeciął mi drogę wąż do podlewania i rymsnęłam na ziemię. Prosto w kałużę po niedawnym podlewaniu zasianej trawy.

Kątem oka zauważyłam, jak Pryszczaty odwraca się błyskawicznie plecami. Jego ramiona lekko zadrżały. Chyba się nie rozpłakał ze współczucia dla mnie, więc… Czyżby miał czelność się śmiać?!

Ubłocona, z podniesionym wysoko czołem, ruszyłam do domu. Ledwo stanęłam w kuchni, bliźniaki wykonały wspólny wytrzeszcz i wskazując na mnie palcami, podniosły lament.

– Mamo! Bobik jest walnięty! – wykrzykiwał Groszek.

– Uwalony! – upierała się Fasolka.

– Uwalany – poprawiła bliźniaki mama, z trudem powstrzymując się od śmiechu.

– Milczeć! – przerwałam tę radosną zabawę. – Mam dość błotnych kąpieli i złośliwych bachorów!

Ania uratowała aż dwa życia, bo zjawiła się w samą porę, gdy byłam już gotowa prać bliźnięta i wieszać je na sznurze do suszenia bielizny.

– Przychodzę służbowo! – Uśmiechnęła się ostatkiem sił, bo oba potwory przywarły do niej w śmiertelnym uścisku.

Cudownie wybawiona przez mamę, pomknęła za mną na piętro.

– Sama nie dam rady – zaczęła. – W domu sierpniowe prace, a festyn już za tydzień. Pomożesz mi?

– Jaaaaa? – Zrobiłam wielkie oczy. – Nigdy nie pracowałam w polu – dodałam szybko, aby nie sądziła, że odmawiam.

Ania w śmiech.

– Nie chodzi o żadne pole! Ja też nie siedzę na traktorze! Mówię o festynie!

– Myślałam, że na festynie je się watę cukrową i bierze udział w loterii…

– Bo tak jest. Ale my, to znaczy dziewczyny z naszej klasy, zbieramy co roku pieniądze na zimową świetlicę. Potem robimy andrzejki, potańcówki… Nie mamy dużych dochodów, ale turyści są szczodrzy, a i mieszkańcy Wiśniowej Góry chętnie się dokładają.

– Chodzicie z puszkami? Jak aktorzy?

– Nie! Urządzamy własny kramik. Sprzedajemy ciastka domowej roboty, kanapki z konfiturą… Co roku są nowe smakołyki.

– Super! – ucieszyłam się szczerze. – Wchodzę w to! Nareszcie coś się wydarzy!

Anka też była uszczęśliwiona, choć przecież to ona zrobiła mi prezent. Już planowałam, co dam na stoisko od siebie. Wiadomo, przychodził mi do głowy tylko chłodnik, ale zanim zdążyłam go zaproponować, Ania klasnęła.

– Pola… A twój chłodnik? Byłby hitem! Najlepsza zupa na lato!

– Naprawdę? – Zarumieniłam się. – Myślisz, że mógłby być?

– Jadłam przecież! – obruszyła się. – Twoja zupa to poezja. Zrób chłodnik. Zobaczysz, będzie się sprzedawał jak ciepłe bułeczki.

– Byle nie jak ciepły chłodnik i zimne bułeczki – podchwyciłam.

Śmiałyśmy się, a Jason spoglądał na nas ze ściany z jawnym zgorszeniem. Dotąd uśmiechałam się przecież głównie ze względu na niego.

Dziwne – pomyślałam, kiedy Ania pobiegła do domu. – Mówimy o zimnej zupie, a na sercu robi się cieplej.

Za oknem zapadał zmrok. Pryszczaty, prawie niewidoczny w ciemnościach wieczoru, wciąż majstrował przy płocie i w szklarni.

– Czy on ma w ogóle gdzie mieszkać? – zapytałam tatę, przeszkadzając mu w zgłębianiu tajemnic botaniki.

– Kto? – zapytał tata nieprzytomnie, podnosząc wzrok znad książki.

– No, twój wierny pomocnik, Jaś Fasola. – Wydęłam lekko dolną wargę.

– Skąd pomysł, że nie ma?

– Bo zapada noc, a on wciąż pracuje. – Wzruszyłam ramionami.

– Zarabia. – Tata powiedział to z jakąś męską satysfakcją. Jakby mu się podobało, że dzieciak w moim wieku kopie ogródek po nocy.

– Ale już późno. Dzieci nie powinny tyle pracować.

– Ooo! – ucieszył się tata. – Dobrze to słyszeć. Też tak uważam – dodał po chwili. – Problem w tym, że to Janka pomysł, aby dziś zostać dłużej. Jutro go nie będzie.

– A to nowina! – zakpiłam. – Przecież nie może go tu nie być! Jest zawsze. Jak te wielkie łopuchy pod naszym płotem!

Tata obrzucił mnie krzywym spojrzeniem.

– Ciesz się, że nie musisz od dzieciństwa ciężko pracować. Niektórzy muszą. A co ważne – chcą. Uszanuj to.

Po tych słowach tata z groźną miną odleciał w swój roślinny kosmos, a ja zostałam z kiepskimi myślami. Już kilka razy padło ze strony rodziców podejrzenie, że jestem czepialska jak rzep. Czy należało brać pod uwagę słuszność tych zarzutów?

Postanowiłam zapobiec narastającym wątpliwościom. Niechętnie opuściłam kanapę, ruszając do kuchni. Zaparzyłam herbatę, zrobiłam grzankę z kozim serem i uzbrojona w latarkę, poszłam do szklarni.

Stał tam. Ledwo go widziałam w przyćmionym świetle ogrodowych reflektorów. Chyba drgnął na mój widok.

– Pomyślałam, że jest późno – odezwałam się pierwsza – więc przyniosłam coś ciepłego.

Postawiłam kolację na ławeczce.

– To naprawdę dla mnie? – Miał miły głos. Jakby oplatał słowa aksamitną wstążką.

– Mhm – przytaknęłam, siadając obok talerza. A przynajmniej sądziłam, że obok. Tymczasem usiadłam centralnie na kanapce, a gdy poderwałam się z miejsca, było już za późno. Kolacja wylądowała u moich stóp.

– Tylko nie to! – zdołałam z siebie wydusić.

– Spokojnie! – Pryszczaty machnął ręką. – To nie twoja wina. Ławka jest trochę na niby. – Znów wyczułam w jego słowach ten aksamit. Uśmiechnął się przepraszająco, jakby to on usiadł na cudzej kolacji, a potem wytarzał ją w ziemi ogrodowej.

– W zasadzie nie jestem głodny – dodał. – Ale herbatę chętnie wypiję.

Szybko sięgnął po kubek, być może z obawy o jego dalsze losy.

– Dobrze, że nie karmię żniwiarzy jak Ania – burknęłam.

– Z ogrodnikami idzie ci całkiem nieźle – odparł.

Myślałam, że kpi. Jednak nie. Jego ciemne oczy lekko błyszczały w świetle latarki. I nic więcej. Żadnego zduszonego śmiechu. Za to ze mną działo się coś dziwnego. Najpierw zachichotałam. Potem jeszcze raz, aż runęła lawina hamowanej dotąd wesołości.

Chłopak patrzył na mnie strapiony.

– Pomyśl… – odezwałam się, z trudem łapiąc oddech. – Nakrywam do stołu, zapraszam gości, a potem siadam im na przekąskach! Perfekcyjna pani domu!

Po chwili były już dwie lawiny. Bo on też się śmiał. Tym swoim aksamitem, ale zaraźliwie, tak jak lubię. A kiedy zamilkliśmy, ze zdumieniem spostrzegłam, że w zasadzie ten cały Janek niczym się nie różni od moich warszawskich kolegów. Wstyd przyznać, ale może jest nawet jakby doroślejszy…

Dosyć! – skarciłam się w duchu.

– Na dzisiaj dosyć – nieświadomie powtórzył za mną Janek. Uporządkował narzędzia i oddał mi pusty kubek.

1. Napisz w 5 punktach plan tego opowiadania.
2. Jak widzi świat Pola, a jak Kinga – wskaż kilka różnic.
3. Jak zmienia się Pola, bohaterka tekstu? Znajdź kilka szczegółów.